GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata:
W Galicyi: rocznie . 3 zł 50 ct.
półrocznie 2 „ — „
kwartalnie 1 „ 50 ct.
Za granicą: do Niemiec 11 mar.
Francyi, Włoch, Turcyi 14 fran.
Ameryki . . . . 3 dol.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN DUCHOWIEŃSTWA.
Wychodzi co czwartek.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya plac Kapituły l. 3. I piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Rękopisów nieprzyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

Rok IV. We Lwowie dnia 29. października 1896. Nr. 43.

Wieczory nad Lemanem

ks. Maryana Morawskiego.

Podobne naprężenie umysłów jak powieści Sienkiewicza wywołały w swoim czasie „Wieczory nad Lemanem“, umieszczane w *Przeglądzie powszechnym*. Z początku brało się do ręki zeszyt *Przeglądu* z pewnym niepokojem, czy rzecz sama dopisze wiele obiecującemu tytułowi, później z obawą, czy następny wieczór będzie stał na wysokości poprzedniego, w końcu z rozgorączkowaniem takiem, że w oczach czytelnika zeszyt miesięczny tracił zupełnie wartość, jeśli mu brakło „wieczora“. Z siedmiu takich wieczorów, jakby z pojedynczych kosztownych pereł, złożył się drogocenny klejnot naszej literatury, jedyne cacko w swoim rodzaju — apologetyka salonowa.

Komu danem było zaglądnąć do głębi serc i umysłów oświeconej warstwy dzisiejszego społeczeństwa, musiał się przerazić widokiem tego krytycyzmu, a raczej sceptycyzmu, który toczy tyle dusz, nawet szlachetniejszych; a jestto sceptycyzm nowego rodzaju, nie ten dawny, ironiczny, ziejący pogardą i nienawiścią do religii, ale grzeczny, uprzejmy, pełen estetycznego smaku, prawdziwie Petroniuszowski. To też na każdym kroku czujemy potrzebę apologetyki, ale takiej, któraby stała na wysokości swego zadania i była zastosowana do potrzeb dzisiejszych umysłów. A przecież, rzecz dziwna, nie wielu stosunkowo teologów, już nie mówię u nas, ale nawet za granicą, odważa się na pisanie w tym kierunku i wyznać musimy, że w szczupłej garstce odważnych niejeden się trafi, któremu nie za to, czego dokonał, lecz chyba za dobre chęci możem być wdzięczni. Ależbo tylko wyjątkowe umysły i pióra mogą sprostać godnie temu zadaniu. Do napisania dobrej apologii nie wystarczy sama wiedza ściśle teologiczna, choćby nie wiem jak obszerna potrzeba jeszcze bystrem okiem objąć wszystkie kierunki myśli ludzkiej w danej chwili, poznać cały ruch umysłowy współczesny, zoryentować się we wszystkich ważniejszych zdobyczach nauki aż do najświeższych jej rezultatów i teoryi. Nadto apologia taka, jeśli chce liczyć na powodzenie, powinna obok gruntowności naukowej dorównać formą utworom literackim obozu przeciwnego; a my wiemy, jak dzisiejsi czytelnicy wykształceni mają wybredny smak, wyrobiony na dziełach pełnych artystycznego wyrafinowania. W końcu apologetyka powinna nie tylko zainteresować, ale i przekonać, a tu nowa trudność, bo nie zawsze dowody, same w sobie silne i niezachwiane, wywierają pożądany wpływ; zwłaszcza umysły sceptyków tracą wrażliwość i tępieją na dowody już słyszane. Trzeba tedy świeżości i nowości, jeżeli już nie w doborze wywodów, bo to nie zawsze możliwe, to przynajmniej w przedstawieniu tychże. Wielką tu także rolę odgrywa indywidualne usposobienie, a nawet temperament narodowy. Do przekonania Niemców trafia najlepiej zimne rozumowanie, poparte drobiazgowym aparatem naukowym. Francuz potrzebuje świeżej myśli, ubranej w formę wykwintną. Dla nas niemieckie apologie (wyjąwszy Hettingera) są za suche i uczonością odstraszają czytelnika, francuskie zaś za rozwlekłe i nudne. Nam potrzeba apologetyki gruntownej, ale treściwej i jędrnej, bez balastu drobiazgowości, głębokiej treścią, a przytem lekkiej i zajmującej formą.

Taką właśnie książką obdarzył nas ks. Maryan Morawski. Co do rozmiarów książka to nie wielka. 182 stronnic wszystkiego, ale ile tam treści, ile trafnych a głębokich myśli! Możnaby to wszystko rozłożyć na kilkotomowe dzieło, a jeszczeby lektura każdego tomu była zajmującą. Są tam poruszone wszystkie wielkie kwestye wstrząsające dzisiaj umysłami ludzi wykształconych, jest obrobiony cały materyał, wchodzący w skład apologetyki, z wyjątkiem chyba kwestyi już przestarzałych, nie mających dzisiaj aktualności. Tak n. p. pominął autor rozbiór krytyczny materyalizmu, bo ta aberracya już straciła kredyt na zachodzie. Odnajdujemy tam w streszczeniu prawie wszystkie argumenta, znane z innych dzieł apologetycznych, wyjąwszy chyba bardzo utarte, ale te argumenta przedstawione są w tak strojnej i ponętnej szacie, że czynią wrażenie nawet na umysły tych, którzy je już słyszeli. Nadto nie brak w książce wywodów zupełnie nowych, a przy tem cechuje je pewna śmiałość, na jaką sobie może pozwolić głęboki i pewny siebie teolog-myśliciel. W dodatku to wszystko podane w formie oryginalnej, bo w formie salonowej pogadanki.

* * *

Przypadkowo zbiera się nad jeziorem lemańskiem elita europejskiego towarzystwa, prawdziwa „arystokracya ducha“, różna narodowością, wyznaniem, przekonaniami, ale równa wykształceniem i dobrem wychowaniem. Jeden Polak wśród tego grona doborowego razi dziwną lekkością sądu. Ludzie ci rozpoczynają rozmowę, a raczej dysputę religijną i w tonie niesłychanie grzecznym i uprzejmym, jak przystało na wyższe towarzystwo, prowadzą ją przez siedm wieczorów. Wieczór pierwszy poświęcony kwestyi religijnej w dzisiejszem społeczeństwie. Jest tam mowa o tym powszechnym zwrocie umysłów ku religii, jaki się pojawił w ostatnich czasach w Europie, z wyjątkiem może Polski, gdzie, jak ironicznie zauważył p. Hainberg, „jeszcze myślą zapewne, że materyalizm króluje do dziś dnia bez podziału w umysłowym świecie“. Pięknie wykazano potrzebę religii, której nie zastąpią modne hasła o sztuce, ludzkości i etyce niezawisłej. Treść drugiego „wieczora“ stanowi nowy, a niepospolicie głęboki i śmiały pogląd na stosunek nauki i religii. Ale może najpiękniejszy jest wieczór trzeci o nowoczesnym pessymizmie. Zło w świetle

rozumu i wiary przedstawia się nie tylko jako potrzeba i dobrodziejstwo natury ludzkiej, ale nadto nabiera pewnego uroku poetycznego, wieczór zaś kończy się porywającym obrazem przyszłego królestwa Bożego na ziemi. Podczas czwartego wieczora porównują biesiadnicy różne religie, a porównanie to wychodzi na korzyść chrystyanizmu. Rozprawiono się z nowszym poglądem teologicznym, który p. Siemionow trafnie zcharakteryzował w następującem zdaniu: „Idziemy ku temu, że chrystyanizm wypróżni się ze wszystkich dogmatów, sakramentów i zostanie czystym zakonem miłości". Całość kończy się znowu pięknem porównaniem, wziętem z tabliczki „Tessera" i obrazem pełnym polotu poetycznego, przedstawiającym zmianę pogańskiej Psyche w katakumbową Orans. Krytyczny moment całej dysputy przypada na piąty wieczór, gdzie mowa o osobie Chrystusa. Najpierw godzą się wszyscy na to, że Chrystus „nie ma charakteru" t. j. znamion indywidualnych czy narodowych, cechujących każdą ludzką jednostkę, wszystko w nim ogólno-ludzkie, „ponad czasem i miejscem", nie można go „po literacku sportretować, nie można go wymalować, nie można go z punktu psychologii pojąć". Jest osobą historyczną, a przecież trudno w nim się dopatrzeć jakiejś ewolucyi, właściwej ludzkim geniuszom czy bohaterom. Stąd przejście już łatwe do bóstwa Chrystusa Pana, popartego cudami, których prawdziwość filozoficzną i historyczną wykazano treściwie. Wywód kończy p. Siemionow typowym okrzykiem niedowiarków dzisiejszych, przypartych do muru: „To cóż ja teraz biedny pocznę z tym Chrystusem, kiedy nie można go oczyścić od pretensyi do Bóstwa?!... Czciłem go i kochałem jako cudo ludzkości, a teraz wyrywacie mi go z serca, z duszy".

Następuje przełom w umysłach dysputujących, wszyscy czują potrzebę modlitwy do Chrystusa-Boga i tem kończy się ta część apologetyki, która nosi nazwę: *demonstratio christiana*. Dwa ostatnie wieczory poświęcono Kościołowi katolickiemu. Dotychczasowa zgoda rozbija się, księdzu przychodzi dzielna pomoc w osobie Hiszpana, duszy uczonej a gorącej. Odrazu energicznie oświadcza przybysz, że rezultat dotychczasowej dysputy jest tylko połowiczny, potrzeba koniecznie dojść do katolicyzmu. Zebrani zaczynają bronić swych wyznań przeciw „uroszczeniom katolicyzmu", starają się przynajmniej uratować równouprawnienie wszystkich kosciołów chrześcijańskich, a p. Deville rzuca klasyczne ze stanowiska protestanckiego powiedzenie: „Na szczęście Chrystus szersze ma serce, niż w Rzymie przypuszczają". Zwycięsko Hiszpan odpiera zarzut, że narody katolickie upadają, a niekatolickie kwitną, następnie rozmowa przechodzi na rozkładanie się protestantyzmu. P. Deville'a, który dotychczas rej wodził w dyspucie, opuszcza ścisłość myślenia, zaczyna pływać, a w końcu przyznać musi, że protestantyzm się „skatoliczył" i tem okupił dalszy ciąg swej egzystencyi. Następuje mistrzowskie i tchnące świeżością wytłómaczenie ewolucyi, jaką Kościół katolicki przebył od początku i po dziś dzień przebywa, poczem jest mowa o uniwersalności katolicyzmu i jego żywotności, która się objawia nawracaniem i świętością, jemu tylko właściwą. Ostatni wieczór poświęcony porównaniu Kościoła rzymskiego z wschodnim przed schizmą i po schizmie. Kwestya o papiestwie stanowi przejście do ciekawych a żywotnych kwestyi o antagonizmie między państwem a Kościołem i o stosunku narodowości do Kościoła.

Całość kończy Don Pardoval energicznem wezwaniem obecnych do nawrócenia się. „Nawrócić się"! Łatwo to powiedzieć, ale nie łatwo uskutecznić; na to potrzeba pozrywać wszystkie więzy przyzwyczajenia i uprzedzeń; w zwykłym i naturalnym porządku rzeczy nawrócenia nie dzieją się na poczekaniu, choćby nawet po rozmowie, która wypełniła siedm wieczorów. To też żadna z osób, biorących udział w dyspucie, nie decyduje się odrazu przejść na katolicyzm. Autor zostawia ich zachwianych w dotychczasowych przekonaniach, może nawet na pół przekonanych o prawdziwości katolicyzmu. Grono opanowało głębokie milczenie i jakaś smętna zaduma; czuć, jak każdy umysł pracuje usilnie; spodziewamy się, że reszty dokona dobra wola i łaska Boża, bo żadna szczera dusza nie zbliża się do Boga bezowocnie.

Sądzę, że taki sam skutek wywrze przeczytanie tej książki na niejednego niedowiarka, odbierze mu pewność jego zapatrywań, jeżeli ją posiadał i da mu dużo do myślenia. Wprawdzie to jeszcze nie wszystko, to dopiero początek tego wewnętrznego procesu, który się kończy nawróceniem, atoli w każdym razie apologeta spełnił swoje zadanie, gdy niedowiarka przywiódł do takiego stadyum duchowego; dalszy ciąg musi się rozgrywać w najgłębszych tajnikach duszy między Bogiem, a sercem ludzkiem.

Ale bez porównania więcej niż zdecydowanych niedowiarków jest umysłów chwiejnych, wahających się między wiarą a niewiarą i jakby oczekujących pchnięcia w jedne lub drugą stronę, a takim książka niniejsza odda z pewnością wielką przysługę i utwierdzi ich w wierze. Zapewne, w pierwszym rzędzie „Wieczory" zostały napisane nie dla zwykłego czytelnika, ale dla wykształconego; potrącają wiele rzeczy, suponując w czytelniku dokładną ich znajomość; ale z korzyścią może ją czytać każdy, nawet młodzież starsza i nieco rozwinięta. I pod tym względem książka taka jest nieoceniona, powinna tedy — i to w kilku egzemplarzach — znajdować się w bibliotece każdego księdza, który ma do czynienia z inteligencyą.

Jeszcze pod jednym względem może nam służyć autor jako wzór do naśladowania. Cała dysputa trzymana jest w tonie nadzwyczaj uprzejmym i umiarkowanym; dysputujący nie unoszą się gniewem; nie oburzają się gwałtownie, słuchając wywodów przeciwnika; rozmawiają spokojnie, a w swoich zdaniach troskliwie wygładzają wszystkie ostre kanty, by przeciwnika przekonać, a nie rozdrażnić, oszczędzają przy tem bardzo sprytnie miłość własną drugich. Podnoszę tę zaletę dla tego, że my w dysputach religijnych bywamy nieraz bezwzględni, oburzamy się zbyt często i unosimy się świętym może, ale nie zawsze roztropnym gniewem. Dusze pozbawione wiary już i tak są godne wszelkiego politowania z naszej strony, tem bardziej, że nie zawsze bywają tak przewrotne, jak nam się zdaje; wypada tedy traktować je tak, jak się traktuje chorych i zbliżać się do nich ze słodyczą i miłością. Oczywiście nie mam tu na myśli tych zaślepionych niedowiarków, u których upór szalony stawia tamę działaniu łaski, bo u takich niedowiarstwo pochodzi nie tyle z trudności rozumowych, ile raczej z nienawiści do Boga.

* * *

A cóż powiedzieć o formie zewnętrznej „Wieczorów nad Lemanem"? Dialog mistrzowski, jedna osoba wpada drugiej właśnie tam, gdzie potrzeba, rozmowa toczy się swobodnie, osoby, jak to zwykle bywa, przeskakują z jednego przedmiotu na drugi, a przecież wszystko nieznacznie łączy się z sobą i do jednego zmierza celu. Dodajmy do tego jeszcze przepiękne zwroty klasyczne, obrazy i porównania, posiadające wartość artystyczną, nierzadko polot prawdziwie poetyczny, a przyjdziemy do przekonania, że książka co do formy nawet idzie w zawody z arcydziełami naszej literatury pięknej i powinna zadowolić choćby największych smakoszów. Już to co do świetności języka mamy obecnie kilku mistrzów, każdy z nich w swoim rodzaju nieprześcigniony, ale nie ubliżając innym, w materyi stojącej w związku z filozofią i teologią nikt u nas piękniej i jaśniej nie pisze, jak ks. Morawski. U niego nie tylko wszystko zgrabnie ułożone, umie on nadto pojęcia głębokie, abstrakcyjne, suche, które same w sobie wymagają natężenia umysłu, tak prosto i powabnie przedstawić, że zdaje się jakby te ciężko-filozoficzne pojęcia pod jego piórem przybierały formę elastycznej piłki do grania; on igra formalnie niemi i rzuca je czytającemu z taką lekkością, że nie czuć wysiłku ani w piszącym, ani w czytelniku.

Można mieć tylko żal do autora za to, że taką niepochlebną rolę w tym dyalogu przeznaczył naszemu rodakowi, p. Bielskiemu. Człowiek to dziwnie powierzchowny, płytki, jego lekceważące wyrażanie się o religii jest nie tylko nie mądre, ale wprost aroganckie. Nawet nie chce spokojnie wysłuchać dysputy do końca, ucieka zaraz w pierwszej połowie, jakby się obawiał, by snać przekonany nie musiał porzucić swoich zapatrywań. Być może, że autor chciał w osobie p. Bielskiego napiętnować i ośmieszyć naszego przeciętnego

niedowiarka, dziwnie lekkiego, który coś zachwycił z zagranicznych modnych haseł i chce niemi wojować, a przytem jest zanadto wygodny i leniwy, by się chciał trudzić szukaniem prawdy; czy jednak wypadało w międzynarodowem zebraniu stawiać właśnie taki typ Polaka? Być bardzo może, że „Wieczory" zostaną przełożone na języki obce, bo na to zasługują w zupełności, a wtenczas cudzoziemcy gotowi o nas wszystkich sądzić według p. Bielskiego.

Drugi zarzut, więcej rzeczowy, dotyczy rozwiązania kwestyi, dzisiaj może najdonioślejszej, rozbratu między wiarą a nauką. Przyznam się, że drugi „wieczór" przeczytałem z największem zainteresowaniem się i ciekawością, ale nie odniosłem tego wewnętrznego zadowolenia, jakie mi gdzieindziej towarzyszyło. P. Deville, przedstawiwszy swój pogląd na stosunek nauki i wiary, a raczej na ich rozgraniczenie, tak kończy: „Może być, że w tym poglądzie to i owo zawadza o jaki szczegółowy dogmat pewnych wyznań chrześcijańskich, może coś w nim uchybia teologii katolickiej; nie jestem powołany o tem sądzić; ogólnie jednak myśl tego poglądu z zasadniczemi ideami chrystyanizmu godzi się najzupełniej". Zdanie to w ustach protestanckiego pastora wcale nas nie dziwi ani razi; ale katolik na takie określenie bez pewnych zastrzeżeń pisać się nie może. Tymczasem ksiądz katolicki, obecny przy dyspucie, zdania tego nie dosłyszał, lub też inaczej je rozumiał, dość że puścił je płazem, ostatecznie wszyscy zgodzili się na pogląd P. Deville'a i rozprawa potoczyła się dalej. Nie wiem jak komu, ale mnie po przeczytaniu powyższego ustępu pozostał pewien niesmak, którego pozbyć się nie mogłem. Być może, że mój zarzut polega na nieporozumieniu, jednak, zdaniem mojem, w nowem wydaniu, (których, sądzę, będzie kilka) potrzebaby powyższe miejsce osobnym komentarzem tak wyjaśnić, by nie dawało powodu do żadnego złego zrozumienia. Inaczej czytający, a zwłaszcza taki, który autora bliżej nie zna, mógłby sądzić, że autor w kwestyi tak ważnej i trudnej chciał się... wykręcić sianem.

W każdym razie wartoby pogląd p. Deville'a obszerniej rozwinąć, zwłaszcza co do teoryi ewolucyjnej, by nasi uczeni katolicy mieli wskazówkę, jak daleko wolno im się zapędzać w przypuszczeniach, nie wchodząc w kolizyę z objawieniem, my zaś moglibyśmy spokojnie przypatrywać się powstawaniu nowych teoryi bez obawy, że zaszkodzą religii. Może P. Bóg da, że autor jeszcze obdarzy nas pracą w tym kierunku.

Ks. Wałęga.

W KWESTYI RUSKIEJ.

(C. d.). Kto powołany do tej pracy nad ludem? Zanim odpowiem na to pytanie, najpierw uporam się z jednym zarzutem, jaki kilka razy pojawił się w gazetach naszych, a był skierowany przeciwko duchowieństwu łacińskiemu. Wystąpiono mianowicie z twierdzeniem, że duchowieństwo łacińskie na Rusi za mało polskie, za mało ma poczucia narodowego i nie wiele dba o pracę nad ludem pod względem narodowym. Co więcej, postawiono nam za wzór duchowieństwo ruskie, na którego barkach dotychczas prawie wyłącznie spoczywa ruska kwestya. Dla odparcia zarzutu mógłbym w krótkości zestawić cyfry, setkom duchowieństwa ruskiego przeciwstawić nasze nieliczne szeregi, a każdy bezstronny z tego liczebnego zestawiania osądzi, że konkurencyą z Rusinami wytrzymać nam trudno. Radbym jednak na ten zarzut dać odpowiedź więcej zasadniczą. Być może, że duchowieństwo ruskie głośniej i gorliwiej zajmuje się kwestyą narodową niż my, że bierze inicyatywę w zwoływaniu wieców, w agitacyach wyborczych i t. d., ale tego nie mogę mu poczytać za zasługę, owszem w pierwszej części mych uwag wytknąłem to jako błąd, że księża ruscy więcej zajmują się polityką, niż Kościołem. Jeżeli naszym patryotom zależy jeszcze coś na godności religii i Kościoła, niech nie żądają od nas, byśmy byli agitatorami politycznymi, ale niech raczej żądają, byśmy byli dobrymi kapłanami. Kapłan gorliwy już dostatecznie spełnia obowiązek obywatelski, jeżeli religijnie oświeca lud i umoralnia go. Zwłaszcza w naszych stronach i w naszych warunkach kapłan łaciński, choć nie afiszuje się ze swoją polskością, choć czasem dla pewnych racyi usuwa się od hałaśliwej demonstracyi patryotycznej, daleko skuteczniej spełnia swój obowiązek patryotyczny, niż ci, co w gazetach dużo piszą i urządzają szumne obchody, jeżeli tylko cicho i spokojnie lud katechizuje, częstemi spowiedziami umoralnia i tak obudza w nim przywiązanie do obrządku łacińskiego.

Ciekawym, coby powiedzieli o nas ci sami patryoci, gdybyśmy, idąc za ich radą, zaczęli naśladować Rusinów, zwoływali wiece, bawili się w agitatorów politycznych i jątrzyli lud? Nie, tego od nas panowie nie żądajcie, chyba macie w tem jaki interes, by Kościół nasz i duchowieństwo łacińskie straciło w naszych stronach swą powagę i znaczenie. Walka narodowościowa i namiętne agitacye przecież nie licują z naszem powołaniem, które całe opiera się na apostolstwie miłości i pokoju; i nie daj Boże, byście się kiedyś doczekali kapłanów według waszego gustu; interesy Kościoła i narodu więcejby pewnie na tem ucierpiały, niż zyskały. Zresztą powiedzcie sami, komu jeszcze zawdzięczacie zachowanie resztek polskiego ludu, jeżeli nie łacińskiemu duchowieństwu; któż, jeżeli nie my, ekskursyami, katechizowaniem trzymamy jeszcze ten lud przy obrządku łacińskim i narodowości polskiej, a kaplice i kościółki w ostatnich latach czyż nie wznoszą się prawie wyłącznie naszem staraniem, a w znacznej części i naszym groszem? Inaczej z pewnością postępowałaby ta praca nad ludem, gdyby nas było więcej i gdybyśmy nie byli odosobnieni, a raczej więcej znajdowali poparcia u warstw innych. Tu nie słów potrzeba, ale pracy, nie szumnych haseł, ale cichej ofiary i poświęcenia, bo kwestya ruska nie da się rozwiązać w gazecie, ani nawet na wysokiej mownicy sejmowej czy parlamentarnej, ale na zapadłych wsiach i małych miasteczkach naszych, a tam o tem dotychczas, prócz księdza, prawie nikt nie myślał. Dwory nasze przeważnie jeszcze trzymają się dawnej tradycyi i w stosunkach ze służbą i wsią używają tylko ruskiego języka; a za przykładem obywatela idą jego oficyaliści. Jeden Kornel Ujejski zrozumiał zadanie dworu na ziemi ruskiej i gdziekolwiek był, wszędzie po sobie zostawił rozruszany i uświadomiony lud polski. Naśladowców dotychczas jeszcze nie znalazł, a jeżeli gdzie są, to nieliczni i bardzo świeżej daty. Po miastach naszych zwłaszcza większych „robiono ciągle politykę", rozprawiano, pisano, na patryotyczne obchody sprowadzano kilku lub kilkunastu zupełnie nieświadomych chłopów, którzy przybywali za pieniądze lub zwabieni napitkiem i na tem kończyła się obywatelska praca nad ludem! A dziś czy dużo lepiej?

Ale dość już tych inwektyw! Nie chcę bronić siebie kosztem drugich, chciałem tylko wykazać, że jeżeli była wina, tośmy zawinili wszyscy. Niechże tedy wszystkie warstwy polskie staną do pracy: i dwory ze swoimi oficyalistami i nauczyciele, o ile im na to pozwala ustawa i wreszcie miejska inteligencya, a w tym szeregu nie braknie i nas kapłanów i będziemy bardzo użyteczni. Poprzednich bowiem moich uwag nie rozumiałem wcale w tem znaczeniu, jakobyśmy my duchowni mieli usuwać się zupełnie od współudziału w ruchu narodowym, owszem na to jesteśmy Polakami, żebyśmy chętnie poszli tam, gdzie to się zgadza z duchem naszego powołania. Leży to nawet w naszym czysto kościelnym interesie i ułatwi nam duszpasterstwo, jeżeli nasze owieczki nie będą na nas spoglądać jak na obcych i rozumieć będą nasze kazania polskie i polski katechizm.

Jakichże mamy używać środków? Nie mogę wchodzić we wszystkie szczegóły drobiazgowe. W życiu narodowem podobnie jak w domowem gospodarstwie rozwój zawisł nieraz od wyzyskania stosownej chwili i miejscowych warunków. Roztropny gospodarz i oszczędna go-

spodyni umie wykorzystać dla siebie wszystko, co się nadarzy. Trudno z góry na to podać jakieś stałe przepisy. Będę się jednak starał wskazać niektóre środki ogólniejszej natury. Przedewszystkiem, zanim się rozpocznie robota na całej linii, wypadałoby, a nawet potrzeba koniecznie, obliczyć nasze siły, zoryentować się w rozłożeniu polskiego elementu w Galicyi wschodniej, bo wówczas dopiero można należyty obmyśleć plan akcyi. W tym celu potrzebaby nam zebrać autentyczne daty z poszczególnych wsi i miasteczek co do rozmieszczenia ludności łacińskiej w porównaniu z ruską. Wykazy te powinny nie tylko zawierać cyfry odnoszące się do łacinników, ale i podawać liczbę mieszkających w tejże miejscowości Rusinów. Dalej: ile w danej miejscowości jest łacinników stale osiadłych, związanych z miejscem jakąś posiadłością ziemską, a ile napływowych i jedynie czasowo przebywających, jak służba, nauczyciele, urzędnicy i t. p.? Czy ludność łacińska mówi u siebie po polsku czy po rusku i czy w ogóle rozumie język polski, czy posiada jakie czytelnie i czyta polskie książki? Jaki stosunek między dziećmi, a dorosłymi i czy w ogóle ludność miejscowa nie okazuje skłonności do zmiany obrządku, czy obchodzi święta łacińskie czy ruskie? Wykazy takie nie powinny się ograniczać wyłącznie na stanie obecnym, ale podawać cyfry z przed lat kilkunastu choćby, jeśli nie kilkudziesięciu, o ile to naturalnie możliwem. Takie dane z miejscowości poszczególnych, a z sobą sąsiadujących możnaby łączyć w grupy i okręgi, wtenczas dopiero poznalibyśmy, gdzie ludność łacińska najwięcej zagrożona, gdzie ginie, a gdzie się jeszcze trzyma. Dla przestrogi mniej przezornych dodać muszę, że to wcale nie jest pociechą, gdy w jakiemś miejscu ludność łacińska w ciągu ostatnich lat kilkunastu nie zmalała, a nawet o kilka dusz wzrosła; nie jestto zyskiem wcale, ale stratą, jeżeli przyrost ludności łacińskiej nie dorównywa przyrostowi równoczesnemu ludności ruskiej, lub jeżeli w tym okresie osiedlały się nowe rodziny polskie [1]). Panowie statystycy z zawodu, co to obrachowali niemal wszystkie drzewa we wsiach i powiatach, wielkąby oddali przysługę sprawie narodowej, gdyby tak samo zechcieli obliczyć ludność polską i wypracowali mapę przyrostu i ubytku w pojedynczych powiatach wschodniej części naszego kraju. Dat autentycznych mogliby dostarczyć księża, nauczyciele Polacy, a przedewszystkiem konskrypcye Nadto schematyzmy, wydawane w konsystorzach, tak łacińskie jak ruskie, dałyby niejedną wskazówkę, chociaż w ogóle, jakem to wspomniał w części pierwszej nie stanowią zbyt pewnego źródła [2]).

(C. d. nast.). *Ks. S.*

Ś. p. ks. Władysław Prus Studziński.

Z każdym rokiem przerzedzają się szeregi kapłanów dyecezyi przemyskiej o szerszej, wybitnej działalności na niwie Kościoła Chrystusowego, których nieubłagana śmierć zabiera z pośród żyjących, pozostawiając głęboki żal w sercach wielu i obawę, że na opróżnione po nich miejsca nierychło znajdą się równi im następcy. — Po niedawnym zgonie ś. p. ks. Wład. Cymbula [3]), byłego katechety gimnazyum przemyskiego, a późniejszego proboszcza w Tyczynie, i ś. p. ks. Franc Wojnara, katechety gimnazyalnego w Jarosławiu, przychodzi nam ze smutkiem zanotować zgon kapłana, który jako były katecheta gimnaz. w Przemyślu, obydwom tamtym był mistrzem w nauce, kierownikiem duchownym i doradzcą w wyborze stanu Oto dnia 18. września br. przeniósł się do wieczności śp. ks. *Władysław Prus Studziński*, prepozyt kościoła parafialnego w Przeworsku.

Nieboszczyk ks. Władysław urodził się 25. czerwca 1827. w Ułazowie, pow. Cieszanowskim, w archidyecezyi lwowskiej, z ojca Andrzeja Prus Studzińskiego, plenipotenta dóbr ordynackich hr. Zamoyskiego, i Anieli z Pawłowskich Z jedynastu braci Studzińskich, zajmujących zaszczytne stanowiska obywatelskie na różnych urzędach, sam jeden poświęcił się stanowi duchownemu. Po ukończeniu wszystkich szkół w Przemyślu otrzymał 7. sierpnia 1853 r święcenia kapłańskie z rąk ś. p. ks. Fr. Wierzchleyskiego, ówczesnego biskupa przemyskiego. Przez cztery pierwsze lata pracował jako wikaryusz przy kościołach parafialnych w Jaćmierzu, Rymanowie i Dobrzechowie. Niezwykła zdolność, wzorowa i niedościgła gorliwość w spełnianiu obowiązków zwróciły na niego uwagę Władzy duchownej, która go w r. 1857 powołała na posadę katechety w gimnazyum przemyskiem. Na tem stanowisku pracował lat 16 z wielkim pożytkiem i wytrwałością, co mu zjednało najwyższe uznanie władz duchownych i szkolnych. A nie łatwe to było zadanie dla katechety gimnazyalnego w Przemyślu w tej epoce, kiedy ucisk i prześladowanie narodu polskiego za kordonem przez rząd rosyjski odbiły się bolesnem echem i u nas w Galicyi, a krwawe mordy bezbronnych i połamanie krzyżów w kościołach warszawskich popchnęły nierachującą się ze skutkami młodzież do rozpaczliwej walki z despotyzmem, usiłującym zagładzić imię polskie i wiarę narodu. Szczególnie młodzież szkolna, bałamucona przez podszepty pseudo-patryotów, rwała się do oręża w obronie praw narodowych, i trzeba było wielkiej roztropności i taktu, aby te porywy młodych serc w należytych utrzymać karbach, a przecież nie gasić szlachetnych w zasadzie uczuć patryotycznych — i nie narazić się władzom politycznym, ani też nie stracić zaufania młodzieży, powierzonej swej moralnej pieczy. Pozycyą tę utrudniała jeszcze i ta okoliczność, że jakby na urągowisko boleści narodowej wszczęły się między młodzieżą gimnazyalną polską a ruską waśnie narodowościowe, wywołane russofilskiemi nowatorstwami ks Naumowicza, późniejszego zaprzańca i odstępcy Unii, który dmąc w trąbę politycznej odrębności narodowej, niby na zasadzie ogłoszonej w tej dobie konstytucyi autonomicznej, podjudzał młodzież ruską, żyjącą dotąd w harmonii z młodzieżą polską, aż do nienawiści plemiennej. Jak wielkie szkody moralne przyniosła ta przewrotna robota obydwom zwaśnionym obozom, łatwo zrozumieć. S. p. ks. Władysław godził te spory, karcił po ojcowsku, do obowiązku nauki zapędzał, upominał do wzajemnej miłości i darowania uraz, a słowa jego pełne słodyczy, wyrozumiałości i wrodzonej mu dobroci, nawet względem upornych, odnosiły zawsze dobry skutek i jednały mu serca tak młodzieży polskiej, której był katechetą, jakoteż i ruskiej. Za gorliwe i pełne namaszczenia kapłańskiego spełnianie trudnych obowiązków profesora religii odznaczył go w r. 1870 ś. p. ks. biskup Hirschler rokietą i mantoletem.

Siedząc na katedrze profesorskiej przez lat 16, wszczepił ś. p. ks. Władysław zdrowe zasady moralno-religijne w tysiące serc swoich uczniów, stojących dziś na różnych wysokich stopniach w hierarchii społecznej.

W r 1873 otrzymał probostwo w Kańczudze; tu już na całkiem innem polu pasterzowania rozwinął swoje działanie i dał się poznać jako gorliwy proboszcz, dbały o dobro swych parafian, otaczając ich ojcowską opieką, wspierając dobrą i skuteczną radą w każdej potrzebie. Za jego dziesięcioletniego

---

[1]) Może kogo dziwi, że kładę nacisk na ten szczegół, który przecież rozumie się sam przez się. Czynię to dlatego, że niektórzy z naszych pocieszają się tym pozornym *status quo*, w jakim się element polski na Rusi utrzymuje. Zapominają o tem, że co roku przybywa na Ruś z zachodniej Galicyi dużo Polaków i ci wynagradzają ubytek tych, którzy się ruszczą.

[2]) Przypadkowo wpadł mi niedawno w rękę schematyzm ruski dyecezyi przemyskiej z lat ostatnich i znalazłem w nim nowość dla nas niesłychaną. W każdej parafii obok liczby dusz greckiego obrządku była podana także cyfra łacinników, tamże zamieszkałych. Wartoby sprawdzić, czy podane cyfry odpowiadają rzeczywistemu stanowi. W innych schematyzmach mamy tylko cyfrę wiernych dotyczącego obrządku, a obok niej liczbę dusz, nie należących do Kościoła katolickiego.

[3]) Wspomnienie pośmiertne drukowane w N-rze 52. *Gaz. Kościeln.* 1894.

duszpasterstwa w Kańczudze przybrał kościół parafialny inną szatę, bo wierny zasadzie: *dilexi decorem domus Tuae* odnowił i odzłocił wielki ołtarz, odmalował pięknie całe wnętrze kościoła, zrestaurował zniszczony od dawna organ, sprawił wiele aparatów i szat liturgicznych, a wszystko czynił cicho, bez rozgłosu, jedynie z poczucia obowiązku. To też pozyskał wnet niekłamaną miłość, przywiązanie i szacunek swoich owieczek do tego stopnia, że w całej, dość licznej parafii nie było jednego człowieka, któryby go nie kochał jak najlepszego ojca.

Atoli szacunek ten miał ś. p. ks. Władysław nie tylko u swych parafian, co zblizka patrzyli na jego nieskazitelny, pracowity żywot i z wymownych ust jego słuchali słowa Bożego. Cała okolica bliższa i dalsza ceniła go wysoce jako kapłana, który obok prawości charakteru, podniosłego umysłu i szerszego na świat poglądu, posiadał w wysokim stopniu towarzyskie cnoty: uprzejmości w obcowaniu z ludźmi, wykwintnego wzięcia i serdecznej, prawdziwie staropolskiej gościnności. Do tych przymiotów dostrajała się cała jego powierzchowność. Jego poważne, myślące, mądre oblicze, promieniejące wrodzoną dobrocią serca i tym spokojnym uśmiechem, który odrazu budzi zaufanie nawet u obcych, zbliżało wszystkich do niego. Jego aż do obojętności posunięta bezinteresowność na to, co mieć mógł i mieć powinien, była żywym obrazem człowieka, *qui post aurum non abiit, nec speravit in pecunia et thesauris.* (Ekkles XXXI. 8). Takim znali go parafianie, znaliśmy go kapłani, znało go obywatelstwo wiejskie i wszystkie stany.

Toż gdy w r. 1883 zawakowało probostwo w Przeworsku, zjawiło się u niego kilku panów, właścicieli większych posiadłości, przedkładając gorące życzenie okolicznego obywatelstwa, aby wniósł podanie na beneficyum w Przeworsku. Ś. p. ks. Władysław, przez całe życie skromny, o żadne godności, a tem mniej o intratne dochody nieubiegający się, zląkł się formalnie tej propozycyi, aby miał sięgać po jedno z najpierwszych beneficyów w dyecezyi. Gdy jednak nie mógł się oprzeć naleganiom i prośbom osób poważnych i szczerze go szanujących, odpowiedział te słowa, charakteryzujące jego zacne zasady: „Spróbuję, kiedy tak chcecie, aby się przekonać, ażali jest w tem wola Boża. Ale zaznaczam, że bardzo mi będzie żal, jeżeli się panowie skompromitujecie, robiąc starania za mną, — bezowocnie". Tymczasem, widać, była w tem wola Boża, bo ówczesny namiestnik, hr. Alfred Potocki, nadał mu prezentę a dnia 1 marca 1883 zainstytuował go JW. ks. biskup Łukasz Ostoja Solecki na to beneficyum, gdzie tak chlubnie przez lat przeszło 13 sprawował obowiązki duszpasterskie. Jak wszędzie, tak i w Przeworsku nie folgował sobie w pracy pasterskiej, mimo wątlejących z każdym rokiem sił fizycznych i podeszlejszego już wieku. Często poważnie cierpiący, choć mógł się wyręczyć, mając trzech księży wikarych, wstępował sam na ambonę i wymownemi usty głosił słowo Boże z tą przekonywującą prostotą, która i najwznioślejsze prawdy jasno i zrozumiale dla najpospolitszego umysłu przedstawia, z tem namaszczeniem i słodyczą, która kruszy najtwardsze serca i pozyskuje je Chrystusowi. Dzielnym był katechetą, doskonałym zawsze kaznodzieją, a jak za czasów swej profesury porywał słuchaczy ślicznemi kazaniami, miewanemi często w katedrze przemyskiej, językiem pięknym, skargowskim prawie: tak jako proboszcz podbijał umysły i serca swoich parafian, uczył, budował. Jak zawsze, tak i teraz dbał szczególnie o kościół i porządek w nim. Za jego staraniem przybyło w pięknej farze przeworskiej wielu rzeczy, że tylko wspomnę odnowienie dwóch bocznych ołtarzy, restauracyę organów, przelanie średniego dzwonu i sprowadzenie nowego serca do wielkiego dzwonu „Sylwestra", pokrycie wieży nową blachą i t. p.

Dalsze działanie ś. p. ks. Władysława miała na zawsze przerwać śmierć, którą poprzedziły ciężkie, trzytygodniowe cierpienia, jakiemi podobało się miłościwemu Bogu nawidzić wiernego sługę swego, aby się spełniły słowa pisma św.: *A iżeś był przyjemny Bogu, potrzeba było, aby cię pokusa doświadczyła.* (Tob. XII. 13). Znosił je nieboszczyk z Jobową cierpliwością, z cichą, wszystkich budującą modlitwą na ustach i kornem poddaniem się woli Bożej. Zaopatrzony wcześnie św. Sakramentami, zasnął na wieki w piątek 18. września.

Smutna wieść o śmierci tyle zasłużonego i tak ogólnie kochanego kapłana rozbiegła się lotem błyskawicy po dyecezyi. Na pogrzeb zjechało się przeszło 80 kapłanów z różnych stron kraju. W niedzielę wieczorem wyprowadził śmiertelne zwłoki z plebanii do kościoła Jks. Stachyrak, kanonik kapituły przemyskiej. Trumnę, ustawioną na rzęsiście oswietlonym katafalku, ozdobiło wiele wspaniałych wieńców, między innemi od księstwa Andrzejów Lubomirskich, od miasta Przeworska, od Rady szkolnej miejscowej, od grona nauczycieli, od Towarzystwa „Gwiazdy", od „Sokoła", dwa od rodziny Studzińskich i Olkiszewskich i wiele innych. W sam dzień pogrzebu, w poniedziałek (21-go), odprawiono msze św. przy wszystkich ołtarzach. Summę celebrował pontyfikalnie Najprz. Jks. biskup-sufragan Glazer. Egzortę w kościele wypowiedział ks. kan. Dymnicki, prob. z Kańczugi, kreśląc żywot nieboszczyka jako profesora, a potem proboszcza w Kańczudze i Przeworsku, jego przywiązanie do rodziny i miłość względem bliźnich, a szczególnie swoich parafian. Po odprawionych modłach przy katafalku przez księży proboszczów r. gr. z Krzeczowic i Mirocina odśpiewało kondukt duchowieństwo łać. Kilkunastotysięczny orszak pogrzebowy prowadził JW. ks. biskup-sufr. w otoczeniu przeszło 80 kapłanów na miejsce wiecznego spoczynku. W pogrzebie wzięły udział cechy z chorągwiami, okrytemi żałobą, liczne korporacye: pp. urzędnicy sądowi i podatkowi in gremio, starosta z Łańcuta p. Marynowski, wszystkie szkoły i Ochronka Sióstr miłosierdzia, księstwo Andrzejowie Lubomirscy, liczny poczet szlachty z bliższej i dalszej okolicy, hr. Jan Mycielski z siostrą, delegaci gimnazyum przemyskiego: katecheta ks. dr. Drozd i profesor p. Goliński, delegaci gimnazyum jarosławskiego: dyrektor Wójcik i katecheta ks. dr. Czopor, straż ogniowa i „Sokół".

Nad grobem przemówił imieniem księży współpracowników ks. dr. Stefan hr. Komorowski, obecnie administrator parafii, podnosząc rzewnemi słowy, w wykwintnej oratorskiej formie, miły, przyjacielski stosunek nieboszczyka do swoich wikarych, jego cnoty domowe w obcowaniu ze swem otoczeniem, a w końcu ostatnie chwile gasnącego życia, które na ręku jego zakończył, pozostawiając żal w sercach ukochanej rodziny i wszystkich znajomych. Z uczuciem głębokiego smutku, ze łzami w oczach, opuściły tysiące uczestników tego żałobnego obrzędu cmentarz parafialny, domawiając w cichości ostatnie pożegnawcze słowa tej prześlicznej egzorty: Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki!

Ks. J. Balwierczak.

BIBLIOGRAFIA.

Ks. Paweł Smolikowski: **Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego ..** tom czwarty, w 8-ce str. 348, w Krakowie 1896, Spółka wydawn. Polska.

W swoim czasie zdawaliśmy na tem miejscu sprawę o pojedyńczych tomach tej cennej publikacyi w miarę, jak one opuszczały prasę i dostawały się w ręce czytelników. Dziś mamy przed sobą IV. i ostatni tom dzieła, które objęło historyą Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców od jego zawiązków aż po rok 1850. Cały ten tom nosi tytuł osobny *Messyanizm i Słowianofilstwo* i samą nazwą tą daje nam już poznać okres czasu, o jakim ma opowiadać i treść wypadków omawianych. Karta ta w dziejach Zgromadzenia, jakkolwiek chlubną i zaszczytną, jest jednak i nad wyraz bolesną, bo zapisaną apostazyą od Zakonu i wiary tych, którzy najlepsze rokowali nadzieje swemi zdolnościami i chęcią służenia sprawie Bożej. W następstwie tych smutnych wstrząśnień słabe i maluczkie „zgromadzeńko" — jak je nazywał ks. Kajsiewicz — liczące w r. 1842 siedmiu członków, miało ich w r. 1850 tylko czterech, a i z tych jeszcze sam przełożony, ks. Hube, miał się usunąć. Jak się to stało i jakie to daje o polskiego ducha usposobieniu świadectwo, o tem autor szczegółowo w książce opowiada. Ks. Godlewski opuścił zgromadzenie, bo zakładał osobne stowarzyszenie księży świeckich pod wezwaniem św. Jana Kantego; ks. Duński wystąpił, bo chciał Towiańczyków ina-

czej a pewniej — niż jego współbracia — nawracać i umarł Towiańczykiem; ks. Terlecki opuścił swych towarzyszy, bo pragnął też inaczej nawracać do Kościoła schizmatyków, zakładając osobne Zgromadzenie woskreseńców — i skończył sam na schizmie. Każdy chce tylko swoje przeprowadzić zamysły; poddać się innym, to rzecz niesłychanie trudna dla naszej polskiej natury.

Powtarzamy, że są to bolesne wspomnienia; tem dotkliwsze były te straty, im mniej szermierzy pozostawało do boju. Zostało ich czterech tylko: Semeneńko, Kajsiewicz, Kaczanowski i Jełowicki — i ci z pomocą Bożą uratowali wszystko. Wątek opowiadania tego tomu, nader ciekawy, obraca się właśnie około losów odstępców od idei Zgromadzenia i około przyczyn tych apostazyi. W chwili, gdy dla Braci Zmartwychwstańców otwierały się dwa najzaszczytniejsze stanowiska, skąd do rodaków i obcych mogliby się odzywać słowy zbawienia i zbudowania, bo ambona w Paryżu i katedra literatury po Mickiewiczu (str. 2), wytworzyła się najzgubniejsza w następstwa sytuacya pojawieniem się wśród emigracyi Towiańskiego. Autor na podstawie współczesnych listów i dokumentów stara się jak najdokładniejsze dać o rozwoju zgubnej jego propagandy pojęcie. Wychodzą tu na jaw liczne, dotąd albo mało albo wcale nie znane szczegóły, wyświetlające tę zawiłą sprawę religijną, a podane przeważnie po raz pierwszy z listów prywatnych, pisanych przez J. Koźmiana, Mickiewicza, Wielogłowskiego i innych z emigracyi, do członków Zgromadzenia, bawiących podówczas w Rzymie. Pierwszy, który stanął w Paryżu po formalnem zorganizowaniu się Zgromadzenia, był ks. Duński i on to od razu wpadł w sam środek walki religijnej w r. 1842. Autor, śledząc bieg wypadków najdokładniej, uwydatnia działalność ks. Duńskiego, początkowe i stopniowe ustępywanie, a wreszcie sprzymierzenie się z herezyarchą w r. 1848.

Podobnie złamane, rozbite życie ks. Terleckiego opowiedziane jest na podstawie głównie prywatnych korespondencyi, nie wiele dotąd znanych, a odsłaniających czytelnikowi wysoce ciekawe epizody z naszych kościelno-społecznych stosunków i z tych pierwszych zawiązków pracy, około nawrócenia Słowiańszczyzny podjętej.

Dookoła losu osób dotąd wspomnianych i wypadków ich życia grupuje się wątek dziejów Zgromadzenia, pozostawiony wszakże na drugim planie opowiadania. Całość — podobnie jak tomy trzy poprzednie — opracowaną jest tym samym, raz od autora przyjętym, sposobem, iż ks. Smolikowski od siebie mówi najmniej, a posługuje się wyłącznie przytaczaniem źródeł i listów. Na podawanie do publicznej wiadomości tego rodzaju dokumentów bez ogródki, bez dyskretnych zastrzeżeń i wyboru, wiemy, iż żalono się przy recenzyach poprzednich tomów. Przyznając, iż historyk ma prawo do zużytkowania podobnych źródeł, — zauważyliśmy przecież w tym tomie niektóre wyjątki z pamiętników lub korespondencyi czysto poufnej i prywatnej, które pewno w myśl swych autorów do ogłaszania drukiem światu całemu przeznaczone nie były. Jakkolwiek więc przeciw zasadzie publikowania podobnych dokumentów niczegobyśmy nie mieli do powiedzenia, to zdaje się nam przecież, iż niektóre wyjątki można było przytoczyć w innej formie, albo — jako mniej potrzebne — zupełnie pominąć.

Mimo tych uwag podnosimy raz jeszcze zasługi czcigodnego autora, który skreśleniem początkowych dziejów swego Zgromadzenia wniósł do skarbnicy naszej literatury nowy, a bardzo pożądany nabytek. Wypełni on dotkliwy u nas brak historyi kościelnej ostatnich lat 60-ciu, rzucając na tę epokę istotnie wiele światła. Każdy nadto miłośnik rzeczy ojczystych i przeszłości naszej znajdzie w tem dziele sporo wiadomości do poznania rozwoju naszego ducha i literatury i z prawdziwym tylko pożytkiem poświęci czas *Historyi Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*. Wartość pracy podnoszą nadto liczne a znakomicie odtworzone podobizny osób współczesnych, wybitniejsze odgrywających wówczas role, a pomieszczone we wszystkich tomach tej cennej publikacyi.

Ks. A. Boc T. J.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. Zmarł kard.-dyakon Kajetan de Ruggiero, urodzony w Neapolu w r. 1816. Po ukończeniu studyów teologicznych rozpoczął karyerę prawniczą w Rzymie, w r. 1847 jako referent trybunału *Segnatura di Giustizia* został prałatem i za ostatnich czasów Państwa kościelnego był członkiem najwyższego trybunału karnego. W r. 1877 Pius IX. zamianował go regensem kancelaryi apostolskiej, a Leon XIII. w r. 1889 kardynałem-dyakonem. — Za pontyfikatu obecnego papieża zmarło 114 członków św. kollegium, które obecnie składa się z 5 biskupów, 51 kapłanów i czterech dyakonów.

Galicya. Limanowa. W myśl uchwały, powziętej na II. Wiecu katolickim we Lwowie, odbył się 21. b. m. pierwszy w kraju powiatowy Wiec katolicki w Limanowej pod przewodnictwem hr. Ludwika Dębickiego. W zgromadzeniu wzięło udział około 2.000 osób, przeważnie włościan, choć nie brakło wielu obywateli ziemskich z okolicy i z dalszych stron przybyłych, oraz licznego duchowieństwa i inteligencyi miejscowej. Referat „o ruchu katolickim“ wygłosił hr. Ludwik Dębicki, „o życiu katolickim na wsi“ prof. Krotoski, „o sprawach ekonomicznych“ Dr. Leopold Caro, „o kółkach rolniczych“ p. Adam Żuk Skarszewski.

Jednomyślnie uchwalonemi rezolucyami zgromadzeni wyrazili cześć i powolność najwyższej głowie Kościoła, Ojcu św., Leonowi XIII., następnie biskupom i duszpasterzom, wyrzekli się zaś wszelkiej wspólności z tymi, co nauki Ojca św. i ostrzeżeń biskupów nie słuchają i przeciw ich powadze występują; uznali także za pożądane utworzenie zawodowej organizacyi rolników i oświadczyli się za zmianą ustawodawstwa karnego, cywilnego i wekslowego w sprawie lichwy w kierunku przez Wiec katolicki lwowski wskazanym.

Włościanie: Kurak z Przyszowy i Król z Limanowy stwierdzili, że wiara w sercach ludu polskiego jest głęboko zakorzenioną i że złe podszepty mogą tylko chwilowo ją zachwiać, ale wydrzeć jej nie zdołają. Ks. Zyguliński mówił o potrzebie popierania nowosądeckiego związku chłopskiego jako jedynego włościańskiego stowarzyszenia, zawiązanego w duchu katolickim i polskim, na co zgromadzenie się zgodziło.

Szczerze cieszy nas odbycie tego Wiecu powiatowego, bo spodziewamy się, że, zagrzane dobrym przykładem, pójdą za Limanową inne powiaty. Jeśli to się stanie, a że się stanie, o tem nie wątpimy, to pragnęlibyśmy, aby program przyszłych Wieców nie był za obfity i żeby włościanie brali w dyskusyi więcej czynnego udziału. Dla zrealizowania tego celu należałoby przed Wiecem ogłosić w pismach ludowych obszerne streszczenie referatów. Jeśli tak postępujemy, zwołując na obrady ludzi, przywykłych do publicznych wystąpień, to tem bardziej wypadałoby dać włościanom możność gruntownego przemedytowania, co chcieliby wypowiedzieć na Wiecu.

Austrya. Wiedeń. Ministerstwo wojny ponowiło rozporządzenie, aby żołnierze w niedzielę nie po południu, lecz przed południem mieli czas wolny i mogli dopełnić swych obowiązków religijnych. Cieszymy się z tego, ale trudno nam oprzeć się zdziwieniu, że w katolickiej Austryi powtórnej publikacyi takiego rozporządzenia było potrzeba.

Niemcy. Wędrowna akademia polityki socyalnej i umiejętności społecznych urządziła tego roku kurs praktyczno-socyalny w Schwäbisch-Gmünd w Wirtembergii; wydano przeszło 1000 kart wstępu, co świadczy o zainteresowaniu się kół katolickich zagadnieniami socyalno-politycznemi teraźniejszości. Bardzo licznym był udział kleru. Starodawne miasto Gmünd, słynne z złotnictwa, jest miastem katolickiem, nic więc dziwnego, że starało się godnie przyjąć uczestników kongresu. Burmistrz powitał ich, zaznaczając, że do rozwiązania kwestyi socyalnej jedyną drogą jest ofiarność z jednej strony, umiarkowanie z drugiej, a sprawiedliwość z obu. Kierownik kursu, dr. Hitze, powitał zebranych, określając jako zadanie kursu pouczenie każdego z uczestników, jak w kole swojem może działać na polu społecznem i powinien. W pierwszym wykładzie dr. Linsenmann mówił o „klerze a kwestyi socyalnej“. Po poglądzie historycznym na ostatnich lat 30 wykazał, jak zasada św. Tomasza, że ekonomia społeczna jest częścią teologii moralnej, powoli zdobywała sobie uznanie, jak w czasach parla-

mentu frankfurckiego i pierwszego niemieckiego Reichstagu kwestyą udziału kleru w życiu politycznem biskupi w ten sposób rozstrzygnęli, że mężowie jak Diepenbrock, Geissel, Munsterer i t. d. wstąpili do parlamentu. Z czasem przekonano się dowodnie, że potrzeba wielkiej dyskrecyi, nauki i doświadczenia, aby kler na tem polu mógł działać z pożytkiem. Mimo to duchowieństwo ma prawo i obowiązek zajmowania się nie tylko kwestyami kościelno-politycznemi, ale także sprawą społeczną. Słusznie powiedział Ketteler: „Bóg dopuszcza, aby chrześcijaństwo w swym błogim pochodzie przez świat natrafiało zawsze na nowe wielkie zadania, a przez ich rozwiązanie stwierdzało swój Boski początek i swą moc, od Boga udzieloną". Przedstawiciele zatem i głosiciele chrześcijaństwa, kapłani katoliccy muszą zajmować się kwestyami aktualnemi. Zapewne jest to rzecz najeżona trudnościami. Niebezpiecznym szkopułem jest dyletantyzm i łatwość zbłądzenia na drogach, gdzie przewodnikami są powagi omylne. Ostatecznie tylko wieczne prawdy dekalogu zapewniają zbawienie społeczeństwu.

Po małej pauzie ks. prof. Hitze miał pierwszy wykład o kwestyi robotniczej. Stwierdził, że po dwudziestoletniej ciężkiej walce uzyskało się wiele z tego programu, który swojego czasu wygłosił hr. Galen w imieniu Centrum ku powszechnemu zgorszeniu innych stronnictw i rządu. W najbliższym czasie wszystko na tem zależy, aby rozpoczęta reforma socyalna nie utknęła w pół drogi. Zadaniem katolików jest uwiedzione masy pozyskać. Środki do tego są: 1. Szczera chęć wykrycia i naprawienia wszystkich niedostatków, aby interesowani przekonali się o naszej dobrej woli. 2. Przez wprowadzanie praktycznych reform należy pokazać, że socyalna demokracya jest zbyteczna. Dla nas kwestya socyalna i praca nad jej rozwiązaniem nie jest sprawą stronnictwa, lecz świętym obowiązkiem, wymaganiem sprawiedliwości i miłości; dlatego na tem polu staczalibyśmy walkę, choćby nam brakło sprzymierzeńców. *(C. d. nast.)*

Ameryka północna. Od 20. do 24. września odbył się w Detroit (mieście liczącem około 300.000 mieszkańców) ósmy niemiecko-amerykański Wiec katolicki. Połączono z nim: 41. zgromadzenie ogólne niemieckiego rzymsko-katolickiego związku centralnego (mającego do 50.000 członków), zgromadzenie niemiecko-amerykańskiego stowarzyszenia kapłanów, niemieckiego związku centralnego katolickich młodzieńców, związku niemieckich stowarzyszeń katolickich w stanie Michigan i związku rodzin katolickich. Wraz z biskupem dyecezyi przybyli biskupi z Belleville, Cleveland, Fort-Wayne, Grand-Rapids i Marquette, tudzież wielu duchownych świeckich i zakonnych. Katolicy w Detroit uczynili wszystko, aby dać wyraz swojej radości i uczcić przybyłych dostojników. Na uroczyste nabożeństwo wraz z tłumem wiernych przybył także burmistrz, niekatolik, imieniem Hazen Pingree, który wiecowników powitał. Usprawiedliwił się, że powróciwszy o północy z tury wyborczej, zbyt jest zmęczony, aby wypowiedzieć piękną mowę, ale uczynić chce wszystko co może, aby im pobyt w Detroit umilić. Dał też istotnie władzom miejskim potrzebne wskazówki. Odbył się też tak zwany Sacred-Concert z 300 śpiewaków, a wieczorem wspaniały pochód z 6000 pochodni i lampionów z odpowiednimi wozami, grupami jezdnych i pieszych, młodzieńców i chłopców i t. d. Z uchwał podnieść należy sprawę założenia angielskiego dziennika katolickiego, jakiego w Ameryce dotychczas niema jeszcze, tudzież sprawę ufundowania katedry języka niemieckiego w Washingtonie; na początek biskup Horstmann z Cleveland ofiarował 1000 dolarów.

Hiszpania. *El Fuerista* z San Sebastian podaje rozczulający dowód pobożności hiszpańskiej i miłości ojczyzny. W Lero, gdzie jest cudowny obraz Chrystusa P., widziano parę staruszków, którzy długo klęczeli na stopniach ołtarza i płakali. Potem powstali, ucałowali stopy Chrystusa i wyszli z świątyni, przed którą oczekiwali ich syn i córka. W powrocie do domu matka omdlała. Udzielono jej pomocy i zapytano, co się stało. Staruszek w kilku słowach rzecz wyjaśnił. „Od sześciu miesięcy, mówił, mamy syna w wojsku na Kubie. Od tego czasu modlimy się do Chrystusa, aby synowi naszemu zesłał, co najlepsze i aby kula go raczej trafiła, niż żeby miał się stać Bogu niewiernym a ojczyźnie zdrajcą. Tego prosiliśmy u Chrystusa i oto nas łaskawie wysłuchał. Właśnie dostaliśmy list z Kuby, w którym dwaj przyjaciele nam donoszą, że syn nasz nie żyje; padł na polu bitwy, całując szkaplerz i wołając „Viva Espana!"

Wyspy filipińskie. Stosownie do zwyczaju w dniu św. Augustyna i N. P. M. de la Correa (28. i 29. sierpnia) zebrali się OO. Augustyanie, którzy są pasterzami na obszarze wysp, aby wspólnie obchodzić wielkie swe święto zakonne w klasztorze macierzystym w Cavita Viejo. Podczas nabożeństwa wpadł nagle ogromny tłum krajowców, uzbrojonych w karabiny i sztylety i rzucił się z wrzaskiem i wściekłością na bezbronnych zakonników. Z tych jedni próbowali ucieczki, inni, młodsi, odważnie stawili czoło, ale bezskutecznie: wszyscy zginęli męczeńską śmiercią. Napastnicy zburzyli kościół i splądrowali klasztor, który jako silną budowę obronną uczynili pierwszą swoją fortecą. Potem napadli na ogromny i również obronny klasztor w Imus, tudzież na inne klasztory prowincyi Cavite i wszystkie ufortyfikowali.

Otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

W tych dniach uzyskałem aprobatę Najprz. książęco-biskupiego Ordynaryatu krak. na druk III. edycyi *prakt. przewodnika dla I. kl. szkół ludowych.* W tem szybkiem i przychylnem załatwieniu mego podania mógłbym — co prawda — poniekąd upatrywać zachętę do rozpoczęcia druku; jednakże waham się i jeszcze wstrzymuję, albowiem na moje odezwę z 1. października zgłosiła się dopiero bardzo mała liczba odbiorców i wątpię, czy w razie przedłużenia terminu o drugi miesiąc, zbierze się przynajmniej 100 odbiorców. Gdyby to nie nastąpiło, oświadczam, że nie podjąłbym się pracy, ni nakładu ze względu na trudne okoliczności i warunki, w jakich się duchowni autorowie w Galicyi znajdują. Sama bowiem Galicya nie pokrywa zwyczajnie kosztów druku i nakładu, jeśli jej nie przyjdą w pomoc inne dwie polskie dzielnice. A i w takim razie potrzeba 10—12 lat, aby się edycya rozeszła. Otrzymanie debitu w Rosyi natrafia na niepokonane trudności. A chociaż mój I. Przewodnik miał debit w Królestwie Polskiem, jednak na mały pokup liczyć może, bo tam się księża innej metody w nauczaniu religii trzymają, nie tej *historycznej*, która u nas przepisana. Księstwo Poznańskie mało także dostarcza odbiorców.

Nie lubię podnosić zalet mego Przewodnika, ale teraz są czasy takie, że do tego przymuszają. Mój Przewodnik jest ściśle osnuty na *tekście biblijnym,* a ten tekst jest drukowany kursywą i obejmuje 2/3 objętości dziełka. Ma więc wielką zaletę i korzyść przed innemi, n. p. niedawno wydanem (autora z umysłu nie wymieniam), w którem autor poumieszczał takie rzeczy, które krytyki teol. nie wytrzymują n. p. że w raju rósł agrest i porzeczki; że św. Józef przyszedłszy do stajenki zapalił świecę i szopkę pozamiatał; że anioł ma taką siłę, iżby mógł kolej wstrzymać i t. p.

Można poufnie dzieciom wiejskim niejedno mówić sposobem porównawczym, ale drukiem należy to tylko ogłaszać, co można z Biblii udowodnić; — inaczej narażamy się na zarzuty ze strony protestantów.

Dla wygody i kontroli księży katechetów do każdego ustępu historyi biblijnej w nowej edycyi dodałem księgę, rozdział i wiersz; porobiłem poprawki stylistyczne, załączyłem najnowszy plan nauki religii dla I. kl. szkół ludowych.

Nikt nie zaprzeczy, że się daje czuć piekąca potrzeba tego Przewodnika; chciałem wedle sił moich być pożytecznym, ale z tego słabego zainteresowania się wnosić wypada, że Wielebni księża katecheci domagają się i oczekują czegoś nowszego i lepszego. Nie pozostałoby mi więc nic innego, jak dać spokój wydawnictwu i po 30 letniej mozolnej pracy autorskiej na tem polu, przysparzaniu zysków nie sobie, lecz drukarzom i księgarzom, po utrzymywaniu składów dzieł wydanych, trudnieniu się ich ekspedycyą, wreszcie ułatwianiu kapłanom nabywania tychże za intencye mszalne — spocząć na zebranych wawrzynach i ustąpić miejsca młodszym siłom i zdolnościom.

Kraków, dnia 22. października 1896.

Ks. dr. Józef Krukowski.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska obrz. łać.

Mianowany ks. dr Błażej Jaszowski nadzwyczajnym profesorem prawa kanonicznego na uniwersytecie lwowskim.

Kooperatorem w Leszniowie ustanowiony O. Chryzostom Kosturski Zak. OO. Bernardynów.

Zmarł ks. Jan Motyl, dziekan szczerzecki i proboszcz w Nawaryi. *R. i. p.*

Dyecezya tarnowska.

Przeniesieni księża: Tomasz Stolarczyk z Pogórskiej-woli do Lubczy, Piotr Sadulski z Lubczy do Straszęcina, Franciszek Sikorski ze Straszęcina do Pogórskiej-woli.

Dyecezya krakowska.

Odznaczeni: *R. et M.* ks. Józef Hamerlak, prob. w Białej; *exp. can.* księża: Jan Markuzel, prob. w Lipniku i Jan Miodoński, prob. w Łodygowicach.

Instytucyą kanoniczną na prob. w Ryczowie otrzymał ks. Michał Krupa, ekspozyt w Waxmundzie.

Na studya do kollegium polskiego w Rzymie wyjechał Nikiel Karol, alumn III. roku.

PODZIĘKOWANIE

Uważamy sobie za obowiązek złożyć publiczne podziękowanie WP. **Julianowi Kruczkowskiemu**, *artyście-malarzowi* zamieszkałemu we Lwowie, za gustowne, sumienne i gruntowne pomalowanie naszego kościółka i trzech ołtarzy, oraz ośmielamy się zarekomendować Go WW. księżom Proboszczom, jako utalentowanego artystę-malarza.

Siostry Miłosierdzia, w Załoźcach.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z Drukarni W. Łozińskiego.